

Czesko-sudecka włóczęga klubowa

30 lipca – 4 sierpnia 2024

Wtorkowy poranek na przełomie lipca i sierpnia niósł w sobie obietnicę przygody, choć jeszcze wtedy nikt nie podejrzewał, że największym wyzwaniem nie będą przewyższenia, lecz próba ustalenia, kto właściwie chrapie w pokoju. Pogranicze polsko-niemiecko-czeskie, od wieków targane historią, tym razem miało stać się areną klubowej migracji ludzi z plecakami, kijkami i zadziwiająco dużą ilością prowiantu „na czarną godzinę”.

Kozákov był idealny na start – wulkaniczny, solidny, bez zbędnych ceregieli. Bazaltowe podłoże przypominało, że Sudety mają ognisty rodowód, choć dziś jedyną erupcją były nasze pierwsze zachwyty i komentarze w stylu: „to naprawdę nie jest takie niskie, jak na mapie wyglądało”. Miejsce słynne z agatów i jaspisów, które teoretycznie można znaleźć... praktycznie – znajdują je tylko ci, którzy przyszli tu godzinę, dekadę lub całe millenium wcześniej.

Potem **Ještěd**, czyli dowód na to, że nawet góra może mieć ambicje kosmiczne. Charakterystyczna wieża wygląda, jakby wylądowała tu przypadkiem wraz z przybyszami z rzeczywistości równoległej, ale tkwi na szczycie z godnością i pełni funkcję hotelu, nadajnika i obiektu kultury architektury. To miejsce, gdzie Sudety mówią: „tak, jesteśmy górami, ale lubimy też niezwykły, choć mocno kontrowersyjny design”.

Vičí Hora przyniosła wyraźne wyhamowanie tempa. Gnejsy i granity, stare jak grzechy ludzkości, porośnięte lasem, który skutecznie tłumił rozmowy. Wieża widokowa pamięta czasy, gdy turysta nosił filcowy kapelusz, a nie softshell. Widoki szerokie, cisza gęsta – idealne warunki, by każdy mógł udawać, że wcale, ale to wcale nie jest zmęczony.

Przy **Zeleným Křížu** i w okolicach **Tomašova** krajobraz wystrzelił nam w oczy feerią widoczków nie do zbagatelizowania.. Piaskowce, urwiska i ambony widokowe sprawiły, że aparaty fotograficzne poszły w ruch, a kolana ostro zaczęły negocjować warunki dalszej współpracy. Geologicznie – czysta poezja erozji. Topograficznie – „krótko, ale treściwie”.

Na **Studencu** historia stanęła na żelaznych nogach XIX-wiecznej wieży widokowej. Tu człowiek czuje, że turystyka w Sudetach ma długą, siwą brodę i solidne, podkute ćwiekami buty. **Zlatý Vrch** dorzucił do tego bazaltowe kolumny – regularne jakby ktoś je wycinał laserem, choć w rzeczywistości to

naturalne dzieło stygnącej lawy i milionów lat cierpliwości, której nam wyraźnie brakowało.

Křížový Buk i **Jezitín** były jak przypisy do książki – krótkie, ale ważne. Stare drzewa, krzyże przy drogach, ślady dawnej religijności i codzienności mieszkańców Sudetów. Miejsca, w których człowiek mówi ciszej, choć nie bardzo wie dlaczego.

Na **Křížovej Horze** i **Jedlovej** Sudety znów pokazały klasykę gatunku: długie, mordercze w upale podejścia, przyjmowana z ulgą i zachwytem nagroda w postaci panoramy i satysfakcja, że „jednak się dało i było warto”. Jedlová, najwyższa w Łużyckich Górach, przypominała, że wysokość to pojęcie względne, a zmęczenie – absolutne.

Klíč zachwyił formą niemal idealną – samotny wulkaniczny stożek, który wygląda, jakby ktoś postawił go tu celowo, żeby było ładnie i dramatycznie. **Svor** u jego stóp pokazał nam, że w Sudetach granica między wsią a górami bywa umowna – czasem tam, gdzie kończy się asfalt zaczyna się szlak, i nikt nie robi z tego problemu.

Na **Lużu** dotarliśmy już w trybie refleksyjnym i wspominkowym, wszak była to kolejna nasza wizyta. Najwyższy szczyt pasma, granica państw, widoki dalekie i myśl, że kiedyś te tereny dzieliły ludzi, a dziś na szczęście dzielą co najwyżej zasięg telefoniczny.

Prosečský hřeben i **Proseč nad Nisou** zamknęły całość spokojnie, niemal miękko. Falujące grzbiety, ścieżki bez dramatycznych zakrętów w górę i w dół, idealne na podsumowanie wyprawy, żarty i niemożliwe do spełnienia (bo szkło waży....) obietnice w stylu „następnym razem biorę lżejszy plecak”.

Czeskie Sudety nie potrzebują rekordów ani wielkich nazw. To góry, które biorą człowieka na długą, bywa że wyczerpującą rozmowę – czasem mądrą, czasem ironiczną – i wypuszczają go trochę bardziej zmęczonego, ale zdecydowanie bogatszego – w radość, w spokój duszy, w dystans do siebie i świata. I z lekkim podejrzeniem, że za jakiś czas znów się tu pojawi :)